

Coraz bliżej wakacje!

Dodatkowe lekcje za grosze

Nauczyciele po godzinach pomagają ukraińskim uczniom

Wojna w Ukrainie trwa. Przez toczący się konflikt ukraińsko-rosyjski, Polska musi się zmierzyć z nowym wyzwaniem, jakim jest przyjęcie i zaaklimatyzowanie uchodźców. W innej rzeczywistości odnaleźć się muszą różne instytucje, a zwłaszcza oświata, której przecież nikt na to nie przygotował.

„Jest miło, mam koleżanki”

Kristina, która skończyła niedawno 12 lat, trafiła do jednej z wrocławskich podstawówek. Jej babcia była Polką, dzięki czemu rozumie język polski. Jak sama mówi, przyjęto ją bardzo ciepło, a wychowawczynie i nauczyciele robią wszystko, aby szybko się odnalazła w nowym otoczeniu:

– Na początku się bałam, ale po upływie kilku tygodni jest lepiej. Jest miło, mam koleżanki, spędzamy razem przerwy, raz widziałyśmy się nawet poza szkołą. Szkoła pozwala mi zająć myśli czymś innym niż wojna. Cieszę się, że będę mogła ukończyć szkołę, a później może iść na studia – przyznaje Kristina.

Uczniowie „tymczasowi”?

Do III Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu dołączyło kilka osób z Ukrainy. Szkoła zapewnia im dodatkowe godziny nauki języka polskiego, a kadra pedagogiczna i uczniowie robią wszystko, co mogą, aby nowi uczniowie poczuli się swobodnie w nowym miejscu. Placówka stanęła jednak przed nowymi wyzwaniami, bo nie każda osoba z Ukrainy rozumie język polski, co powoduje trudności podczas nauczania przedmiotów. O sytuacji opowiada dyrektorka szkoły, Aneta Jaworska:

– Szkoła powitała nowych uczniów z ogromną serdecznością, a w każdej klasie, w której znaleźli się uchodźcy, wyznaczamy wśród uczniów opiekunów, którzy mają im pomóc odnaleźć się w nowym miejscu. Wywiesiliśmy w całej szkole zwroty w języku polskim i ukraińskim, aby ułatwić uczniom ko-



W polskich szkołach uczy się już ponad 100 tys. Ukraińców

munikację. Ukraińcy wykazują się ambicją i w zdecydowanej większości świetnie sobie radzą, są jednak nieco zamknięci, kiedy szkoła oferuje im pomoc psychologa. Część uczniów pochodzących z dużych ośrodków, takich jak Kijów, dobrze radzi sobie w komunikacji w języku angielskim. Są jednak osoby, które przyjechały do nas z mniejszych miejscowości i preferują język rosyjski. Na szczęście nasza kadra mówi w obu językach, więc udaje się nam dość sprawnie komunikować, a jeśli pojawiają się trudności, używamy tłumacza internetowego – wyjaśnia.

Jak wspomina kierująca placówką, o ile integracja wychodzi szkole bardzo dobrze, o tyle trudności pojawiają się przy nauczaniu przedmiotów. Problem dotyczy również klasyfikacji uczniów. Dotychczas uchodźcy z Ukrainy nie mieli styczności z polską podstawą programową, a często również z językiem polskim.

– Jak nauczyciel ma klasyfikować uczniów, którzy uczą się dopiero podstaw naszego języka, a podstawa programowa przewiduje ocenianie znajomości i zrozumienia „Dziadów” czy „Potopu”? – pyta dyrektorka liceum. –

Schody pojawiają się także na biologii czy chemii, bo każdy przedmiot ma swój metafizyk, trudno więc przekazywać wiedzę nowym uczniom z Ukrainy. Nikt nie ma na to pomysłów, a nauczyciele i dyrektorzy czekają na wskazówki, które pokażą, w jaki sposób właściwie ocenić Ukraińców.

Jak zapewnia dyrektorka Jaworska, szkoła kieruje się zdrowym rozsądkiem. Oceniane są przede wszystkim starania i postępy nowych uczniów.

Podstawówki w gorszej sytuacji

W dużo gorszej sytuacji znalazły się natomiast szkoły podstawowe. Dzieci, które tam przybyły nie dogadują się z resztą w tak łatwy sposób, jak nastolatki, którzy trafiają do szkół średnich. Barię stają się język, a przede wszystkim trauma, która pozostała w nich po ucieczce z ojczyzny. Jak mówi nauczycielka języka niemieckiego w Szkole Podstawowej nr 14 we Wrocławiu – Anetta Zaniecka, problemem jest nie tylko bariera językowa, ale także niedostosowanie polskiej oświaty do nowej sytuacji:

– Nauczyciele mają obcięte godziny i często przeprowadzają zajęcia dodatkowe dla uczniów za darmo. Nie ma pieniędzy na to, aby dydaktycy mogli otrzymać indywidualne zajęcia z dziećmi z Ukrainy, aby móc jak najbardziej wyrównać szanse z polskimi dziećmi lub przynajmniej nauczyć ich, choć podstaw języka polskiego. Moim zdaniem pomysł, aby pisali egzaminy (egzamin ósmoklasisty – przyp. red.) na tych samych zasadach, co Polacy jest nietrafiony – ocenia.

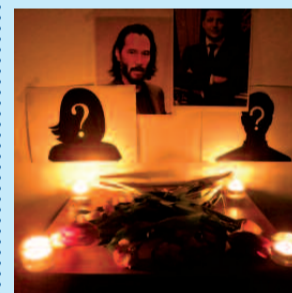
Na polskiej scenie politycznej słychać pierwsze głosy niezadowolenia, które apelują o ułatwienie egzaminów ze względu na uchodźców. Inne mówią też o nieobejmowaniu ich obowiązkiem podchodzenia do testów, a jeszcze inne o tym, że powinny zostać dostosowane dla nich zupełnie inne formy zaliczeń. Egzaminy odbywają się jednak już w czerwcu. Przed rządem oraz Ministerstwem Edukacji i Nauki stoi nie lada wyzwanie, którego nie można zepsuć, bo skutki mogą zaważyć na przyszłości wielu młodych ludzi.

Kacper LEWANDOWSKI
kade3@st.amu.edu.pl



Upadają pomniki!
– Derusyfikacja Ukrainy
s. 2

Polecamy



Kult przywoitych
prezydentów s. 3



Festiwal Filmowy
w Cannes 2022 s. 5



Bizuteria
niejedno ma imię s. 7

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Maj już prawie za nami, co oznacza, że został nam jeden pełny miesiąc intensywnej pracy, który zwieńczony zostanie upragnionymi wakacjami. Sesja egzaminacyjna zacznie się dopiero 20 czerwca, ale mamy nadzieję, że szybko się z nią uporacie. Trzymamy za Was kciuki!



W majowym numerze przeczytać będziecie mogli o ważnych wydarzeniach na świecie. Oprócz informacji, zajrzyjcie na następne strony, by rozkoszować się tekstami o Włoszech czy Francji. Znajdziecie również tekst o Festiwalu Filowym w Cannes, a także polecimy Wam jeden z Netflixowych seriali. Ostatnią stroną numeru polecamy miłośnikom sportu, a zwłaszcza kibicom Kolejorza i fanom Formuły 1.

W wolnych chwilach zajrzyjcie również na naszą stronę internetową, gdzie prawie codziennie pojawiają się nowe teksty naszych redaktorów. A o nowych tekstach dowiecie się z naszych profili na Facebooku i Instagramie – zapraszamy do obserwowania!

Trzymajcie się ciepło. Życzymy Wam miłej lektury,

Redaktor naczelna
Wiktoria Wesolek



Obalenie pomnika przyjaźni Ukraińsko-Rosyjskiej w Kijowie

Upadają pomniki! – Derusyfikacja Ukrainy

W Ukrainie władze cywilne rozpoczęły masowe i systematyczne usuwanie pomników z okresu władzy sowieckiej. Pomnik po pomniku upada z brzękiem o ziemię, a Ukraińcy w końcu odcinają się od swojej sowieckiej przeszłości i pokazują całemu światu, że Ukraina i Rosja nie są już bratnimi narodami.

Obalenie pomnika przyjaźni ukraińsko-rosyjskiej nie było pozbawione symbolizmu. Dawniej oba narody, które mimo trwającego od 2014 roku konfliktu, były uważane za przynajmniej spokrewnione, są teraz sobie właściwie obce. Ukraińcy jako naród doświadczyli nie tylko bezpodstawnej inwazji na ich niepodległe państwo, ale i bestialstwa, i masowych mordów dokonanych przez Rosjan na Ukraińcach za jedną „zbrodnię”: nie chcieli być częścią Rosji. W obliczu takiego okrucieństwa symboliczne przecięcie więzów między narodami nie powinna nikogo dziwić.

Dlaczego wciąż stały?

Jak to się jednak stało, że te pomniki przetrwały rozpad ZSRR? W Polsce znacząca większość monumentów sowieckich została zniszczona. Zmieniono także nazwy ulic. Pomimo kilku wyjątków od reguły, czyli miejsc, gdzie pozostał sowiecki sentyment, albo w których likwidacja nie jest optymalnym rozwiązaniem (jak w przypadku Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie), w postkomunistycznej Polsce doszło do widocznej desowietyzacji.

Nie wydarzyło się to jednak, a przynajmniej nie na taką skalę, w Ukrainie. Dlaczego? Mimo wszystko Ukraina przecierpiała Hołodomor z rąk sowieków. Zagłodzenie na śmierć milionów Ukraińców i dekady ucisku ze strony Moskwy powinny być wystarczającym argumentem. Jednak pomniki dalej stały. Głównym powodem były zapewne znacznie bliższe stosunki Rosjan i Ukraińców, jak i rosyjskojęzycznych mieszkańców Ukrainy. Sentyment wśród znaczącej części populacji był zbyt silny. Obalenie pomników doprowadziłoby do alienacji tej części społeczeństwa. Fakt, że Ukrainą rządzą oligarchowie wywodzący się z władz sowieckich również miał znaczący wpływ.

Mit narodzenia

Kolejnym powodem był kruchy mit narodzenia Ukrainy jako państwa. Nie zrozumcie mnie źle: Ukraińcy mieli swoich boha-

terów i ojców narodu. Nie mieli jednak swojego Piłsudskiego jak Polacy. Niestety w dużym stopniu to przez polskie działania możliwość powstania niepodległej Ukrainy i mitu, który by związał całą nację, zostały zniszczone. Z tego powodu jedność narodu po upadku ZSRR w 1991 roku była krucha.

To się jednak zmieniło wraz z atakiem Rosji w 2014 roku – i teraz się zintensyfikowało wraz z eskalacją wojny ze strony Moskwy. Na własne oczy obserwujemy narodziny nowoczesnej niepodległej Ukrainy. Każda kropla krwi przelana w obronie niepodległości, zostanie użyta, by napisać mit, który będzie mógł zjednoczyć naród.

Historia się śmieje

Nie powinna nam umknąć ironia losu całej sytuacji. Nie tak dawno prezydent Putin stwierdził publicznie, że Ukraina i naród ukraiński, to byty sztuczne i są one niczym innym jak odnogą kultury rosyjskiej. Wiele osób w Ukrainie, szczególnie rosyjskojęzycznych podzielało to zdanie. Z perspektywy wielu, nawet analityków na Zachodzie, trudno było odróżnić Ukraińców od Rosjan.

Atak Putina na Ukrainę zmienił tę rzeczywistość. W swojej ambicji, by zniszczyć Ukrainę i naród ukraiński, Putin stworzył idealne warunki dla zakończenia formowania się idei i mitu Ukrainy zarówno jako państwa, jak i narodu.

Koniec braterstwa

Upadek pomnika przyjaźni ukraińsko-rosyjskiej w Kijowie to dopiero początek. Już słyszy się o upadających pomnikach Puszkina i Zukowa. Ukraińcy w końcu odrywają się od swojej sowieckiej przeszłości i tworzą fundamenty dla nowoczesnego państwa.

Ironicznie, na terenach okupowanych przez Rosjan, zauważamy całkowicie odwrotny proces. Rosjanie stawiają nowe pomniki w większości gloryfikujące sowieckie czasy. W swojej desperacji Moskwa próbuje zarówno kulami, raketami, jak i pomnikami udowodnić Ukraińcom, że nie istnieją.

Cóż... tak jak inwazja na niepodległą Ukrainę, tak i ten żalony plan się nie powiedzie.

Sława Ukrainie!

Sława Bohaterom!

Stanisław MROWICKI
stamro@st.amo.edu.pl

Redaktor miesiąca



Daria Bajorek

Hej, jestem Daria i w BUCu piszę głównie o kulturze, bo to do niej od zawsze mnie ciągnie. Często odwiedzam kina i teatry, a ze swoimi słuchawkami prawie nigdy się nie rozstaję. Na co dzień studiuję, pracuję i tworzę playlisty na Spotify.



Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Wiktoria Wesolek
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Krzysztof Polasik
Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłosowska
Numer makietował
Krzysztof Polasik

Wydawca numeru
Wiktoria Wesolek
Redakcja merytoryczna:
Justyna Furmaniak,
Wiktor Pohorecki,
Krzysztof Polasik,
PR i Social Media
Aleksandra Kłosowska,
Milena Mrozek,

Emilia Szkobodzińska,
Wiktoria Wesolek
Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Natalia Budna
Adam Czećciński
Julia Czekalska
Joanna Dąbrowska
Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska

Marta Godurkiewicz
Aleksandra Grzelak
Milena Guzik
Darya Hurosh
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kepiński
Aleksandra Kłosowska
Karolina Konyś
Karolina Kozłowska
Hanna Kulak

Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Łaszewska
Magdalena Maciejewska
Agata Mania
Klaudia Michalak
Olga Michalak
Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek

Marcin Nowicki
Marcin Ostrowski
Wiktor Pohorecki
Krzysztof Polasik
Florentyna Rybczyńska
Olga Rydzewska
Wiktor Różak
Michał Rzeźnik
Kristina Semendiak
Anastasiya Shcherba
Karolina Sierdzan

Ilona Skrzypczak
Sofia Stefaniuk
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Wiktoria Wesolek
Eryk Więsyk
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Red. Lesław Ciesiółka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia Prasowa
ul. Malwowa 158, Skórzewo
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Nacjonalizm odchodzi do lamusa?

Ostatnie wyborcze porażki Marine Le Pen we Francji i Janeza Janšy w Słowenii pokazują, że w czasach kryzysu Europejczycy stawiają na stabilność i proeuropejskość. Jak sytuacja w krajach naszych partnerów z Unii Europejskiej wpłynie na przyszłoroczne wybory w Polsce? Czy czeka nas kolejna kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy, czy może opozycja przejmie władzę?

Przegrywać. To określenie idealnie może opisywać polityczną drogę Marine Le Pen. Francuska polityczka próbowała swoich sił w wyborach prezydenckich trzykrotnie, za każdym razem ponosząc sromotne porażki. Możemy jednak, porównując kolejno jej wyniki wyborcze, zauważyć trend zwykły. Można uznać, że wojna wybuchła dla Le Pen w niekorzystnym momencie, gdyż musiała ukryć swoje konotacje z putinowskim Kremlm, m.in. wycofując z obiegu ulotki ze zdjęciami, na których pozowała ze zbrodniarzem wojennym. Pozostaje nam gdybać, czy Le Pen wystartuje w kolejnych wyborach, czy może raczej wystarczy jej już znaków od Francuzów, że ich korzenie są we wspólnocie europejskiej i właśnie tam ich miejsce.

W międzyczasie Zieloni zdetronizowali słoweńskiego Orbana. Założona zaledwie rok temu partia Ruch Wolności zwyciężyła w wyborach parlamentarnych w Słowenii. Proeuropejskie i środowiskowe ugrupowanie pokonało

stronnictwo dotychczasowego premiera Janeza Janšy. Wielu widziało w nim podobieństwa do Victora Orbána, zwłaszcza po pochlebnych wypowiedziach Janšy w kwestii reform medialnych. Jednakże ustępujący ze stanowiska Słoweniec nie miał szansy powtórzyć „wyczynów” Orbána, z racji na konieczność współzrządzenia z partiami liberalno-lewicowymi. A to pech...

Węgierska lekcja

Przenosząc się do naszych bratanków i patrząc na ostatnią klęskę egzotycznej opozycyjnej koalicji, pojawia się pytanie, czy w polskich realiach jest sens prowadzenia jakichkolwiek rozmów na temat wspólnej listy opozycji. Niejednorodna węgierska koalicja to zlepek partii takich jak Jobbik (kiedyś śmiało stawiana w szeregach obok Konfederacji, a teraz aspirująca do miana partii ludowej), aż po lewicową Koalicję Demokratyczną.

Zastanówmy się, czy jesteśmy w stanie sobie wyobrazić blok wyborczy, skupiający zarówno Konfederację, jak i Nową Lewicę? Chyba nikt nie bierze takiej opcji na poważnie. Polscy politycy spoza obozu rządzącego mają nie lada zagwozdkę. Muszą w najbardziej racjonalny sposób zaproponować wyborcom coś więcej, niż tylko bycie totalną opozycją (ulubiony slogan TVP Info w tym kontekście akurat zdaje egzamin). Potrzebują realnego programu naprawy po ostatnich 7 lat rządów prawicy. A do zmienienia jest sporo.

Każdy osobno?

Na dzisiaj taki scenariusz wydaje się najbardziej prawdopodobny, jednakże pamiętajmy,



To zdjęcie widniało na ulotkach Marine Le Pen, wycofanych po ataku Putina na Ukrainę

że wybory parlamentarne odbędą się jesienią 2023 roku. W polityce półtora roku to bardzo długo i dużo może się zmienić. Obóz władzy pomniejszony już o Porozumienie Gowina, a wzbogacony (nieformalnie) o Kukiza, który powoli staje się planktonem politycznym, może utworzyć listy bez niepokornego ministra Ziobry i jego świty. Takie pogłoski płyną z Nowogrodzkiej już od dawna. Jednak 0,7 procent w sondażu dla Solidarnej Polski nie napawa optymizmem ministra sprawiedliwości i jego ludzi.

Pytanie tylko, czy prezes Kaczyński wciąż go potrzebuje, czy raczej w tym momencie jest już tylko kulą u jego nogi. O ironii! Wewnątrz opozycji mówi się o ewentualnym bloku Polski 2050 i Polskiego Stronnictwa Ludowego, chociaż miejsca na listach Koalicji Obywatelskiej mogłyby być dla ludzi Hołowni atrakcyjniejsze. A gdzie w tej całej układance miejsce dla Nowej Lewicy? Póki co pomysłów i wątpliwości jest wiele. A PiS zaciera tylko ręce na kolejną kadencję.

Michał RZEŹNIK
micrze3@st.amu.edu.pl

Kult przyzwoitych prezydentów

Wojna przynosi ogromne cierpienia. Nigdy nie wynika z niej nic dobrego. Jednak pośród okrucieństw czasem pojawiają się ludzie, którzy stają się przykładem. Bohaterowie. Osoby, na które patrzymy z podziwem. Bywa i tak, że komik, który został prezydentem, staje się najbardziej uwielbianym mężczyzną na świecie. Brzmi abstrakcyjnie, taka historia opowiedziana komuś nieświadomemu, bez kontekstu, prawdopodobnie spowodowałaby niezwykłą konsternację. A jednak Wołodimir Zełenski, bo o nim oczywiście mowa, faktycznie zawładnął naszymi umysłami. Dlaczego?

Odpowiedź wydaje się oczywista – razem ze swoimi rodakami uczestniczy w wojnie. Pozostał w Kijowie pomimo wielkiego niebezpieczeństwa. Robi, co w jego mocy, by zakończyć konflikt, a na dodatek jest przystojny, uprzejmy i ma poczucie humoru. Wszyscy mu kibicujemy, a tym samym Ukrainie. Pod tym względem odpowiedź jest faktycznie oczywista. Bardziej skomplikowane jest pytanie o to, dlaczego w ogóle tak bardzo podziwiamy takich ludzi, jak Zełenski. Jakie są konsekwencje takiego wynoszenia na piedestał? Jak to świadczy o naszym społeczeństwie?

Znak naszych czasów

Zełenski jest politykiem, ale nie zachowuje się jak polityk. Ludzi zajmujących wysokie pozycje państwowe utożsamiamy z egoizmem, z dbaniem o własny interes i kombinatorstwem. Sam fakt, że prezydent Ukrainy nie uciekł z kraju (co więcej, że pozostał w atakowanej stolicy), świadczy o tym, że wylamuje się z tego trendu. Cały czas działa na arenie międzynarodowej. Prosi o wsparcie, sprzęt, pomoc humanitarną. Każdy z tych postulatów

koncentruje się na jego rodakach, nie na nim. To wszystko sprawia, że wylamuje się ze schematu, który utarł się przez dziesięciolecia. Przypadków takich jak Zełenski mamy więcej, prezydent Ukrainy jest jedynie najnowszym i najgłośniejszym.

Podobnym uwielbieniem w internecie, choć na mniejszą skalę, cieszy się, chociażby Keanu Reeves. Aktor jest znany ze swojej skromności, pokory, uprzejmości i bardzo przyjemnego obycia. Sława i pieniądze nie zmieniły Keanu w narcyza. Krótko mówiąc, woda sodowa nie uderzyła mu do głowy. Co łączy Zełenskiego i Reevesa? Zachowują się po ludzku. Czyli tak, jak powinna wyglądać norma. Politycy, którzy dbają o interes publiczny, celebryci, którzy nie wywyższają się ponad innych. Mimo wszystko, jak smutne by to nie było, nie jest to coś, co można zmienić. Takie zachowania nigdy nie będą standardem. Tym samym, zawsze będziemy podziwiać takich ludzi jak Zełenski czy Reeves. Skoro nie możemy przed tym uciec, to czy możemy to jakoś wykorzystać?

Bożek może nam pomóc...

Oczywisty pozytyw to nadzieja, którą dostarcza nam osoba na piedestale. Skoro gdzieś tam na świecie jest polityk, który dba o swoich rodaków, to łatwiej jest nam pogodzić się z tym, że większość tego nie robi. Mamy przecież nadzieję, że w końcu i u nas ktoś taki się pojawi. Poza tym, widząc aktora, który mimo sławy i pieniędzy dalej pozostaje skromną, ludzką osobą, traktujemy go jak przykład. Nie wszyscy oczywiście za nim pójdą. Myślę jednak, że to nie jest zbyt daleko idące stwierdzenie, że Keanu Reeves, czy inni celebryci zachowujący się podobnie, zainspirowali wiele osób do bycia lepszą wersją siebie.

Gdy na świecie dzieją się złe rzeczy, miło jest zwrócić swoją uwagę na kogoś, kto napawa nas optymizmem. To jest główny powód, przez który powstaje zjawisko tego „kultu jednostki”. Na przestrzeni dziejów działo się to wielokrotnie, niestety nie zawsze w pozytywny sposób. Bo przecież

Hitler również napawał Niemców optymizmem po pierwszej wojnie światowej. Zarówno w nazistowskich Niemczech, jak i w faszystowskich Włoszech, mieliśmy do czynienia z definitywnym kultem jednostki, kultem przywódcy. Gdy ktoś dostreże ze swojego piedestału, jak duży tłum zebrał się dookoła niego, w jego głowie może pojawić się złośliwa myśl, by wykorzystać to na swoją korzyść. To jest ogromne ryzyko. Czasami bywa tak, że te wszystkie pozytywne cechy, które opiewaliśmy, okazują się wyłącznie pozorami. Jednak nawet jeśli są szczerze, to jest zawsze ryzyko, że ktoś zostanie spaczony swoją pozycją bożka.

Przykład Hitlera jest bardzo radykalny, więc miarą jego miarą wszystkich innych jest co najmniej nie na miejscu. Są jednak bardziej przyziemne przykłady. Chociażby Matka Teresa z Kalkuty, która notabene jest obiektem kultu zarówno w potocznym, jak i faktycznym sensie – jest przecież świętą Kościoła katolickiego. W powszechnej perspektywie jest symbolem dobroci, pomocy potrzebującym. Otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla. A przecież znane są historie o złym traktowaniu pacjentów i nieetycznych praktykach, takich jak nawracanie na katolicyzm wbrew woli podopiecznych i ich rodzin. Oczywiście, nie każda osoba w świetle reflektorów okaże się mniej krytyczna, niż mogłoby się wydawać. Tego nie możemy być pewni nigdy. Właśnie ta niepewność powoduje, że należy ostrożnie podchodzić do gloryfikacji jednostki.

...ale jak pomóc bożkowi

Chociaż wcześniej skupiłem się bardziej na wpływie, jaki ludzie powszechnie uwielbiani mają na otoczenie, to nie można też zapomnieć o tym, co otoczenie może zrobić z taką osobą. Ludzie, na których spoczywa tak wielkie zaufanie społeczne, są tego świadomi. Cięży na nich wielka presja. Gdy przeciętna osoba, nawet sławna, popełni błąd, pojawia się reakcja odpowiednia do skali błędu. Jednak gdy zrobi to ktoś, kogo społeczeństwo uznało



Nigdy nie wiadomo, kto następny znajdzie się na piedestale

za przykład, kto został wybielony do granic absurdu, wówczas reakcja jest równie wyolbrzymiona. Oczywiście, jeśli błąd jest poważny, jeśli pokazuje hipokryzję tej osoby, to słusznie przestaniemy ją szanować.

Problem pojawia się, gdy podnosimy poprzeczkę naszym bohaterom ponad ich możliwości. Jeśli Keanu Reeves spotka fana i nie spełni jego oczekowań, bo nie będzie dla niego dość miły, spadnie na niego krytyka. Nieistotne będzie, że niemożliwym jest dogonienie legendy, jaką jest ten mityczny Uprzejmy Celebryta, bo okazuje się, że jest on po prostu zwykłym facetem. Dla ludzi z takim brzemieniem idealizacja może być krzywdząca, bo muszą oni na każdym kroku się pilnować, czasem zmuszać do rzeczy, których nie chcą. Każdy z nas uznałby to po czasie za męczące.

Podziw dla jednostek leży w naszej naturze, a jego istota jest zbyt skomplikowana, by opisać ją w pojedynczym tekście. Pewne jest jednak to, że gdy już postanowimy budować komuś ołtarze, należy robić to z umiarem. Nie przesadzać z kwiatami, zdjęcia dobierać tak, żeby było widać niedoskonałości. Po prostu nie zapomnieć, że wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

Marcin NOWICKI
marnow83@st.amu.edu.pl

Z włoskiego „słodkie nicnierobienie”. Nazwa tej filozofii szczęścia może być kojarzona chociażby z filmu „Jedź, módl się i kochaj” z Julią Roberts w roli głównej. Na TikToku jest to jeden z popularniejszych trendów. Użytkownicy przedstawiają w swoich filmach urokliwe włoskie uliczki, naturę oraz miejsca i sposoby wypoczynku. Czym dokładnie jest dolce far niente? Czy Włosi to jedyny naród, który wymyślił własną filozofię szczęścia?

Fraza „Il dolce far niente” pojawiła się po raz pierwszy w piśmie „Il Conciliatore” w 1819 roku. Jej autorem był włoski patriota Federico Confalonieri, jednak spekuluje się, że oryginalnie zwrot pochodzi od łacińskiego powiedzenia Pliniusza „jucundum nihil agere” – co oznacza właśnie „słodkie nicnierobienie”. Czasem mówi się nawet o „l'arte del dolce far niente”, czyli o sztuce słodkiego lenistwa, ponieważ nie jest ono tak proste, jak może się wydawać.

Jak leniuchować?

Według Włochów umiejętnie, bo w dolce far niente nie chodzi o zwyczajne lenistwo, ale o takie, które jest zamierzone i zaplanowane. Bardzo trafnie przybliży ten temat bohater wspomnianego filmu „Jedź, módl się i kochaj”. Luca Spaghetti (tak, to prawdziwe nazwisko jego postaci) tłumaczy Elizabeth (Julia Roberts), że turyści wiedzą, czym jest rozrywka, ale nie przyjemność.

Przejeżdżając na wakacje, obojętnie czy są to Włochy, Hiszpania, czy jakkolwiek inny kraj, czują presję zobaczenia jak największej. Należy przecież zobaczyć każdy słynny zabytek oraz muzeum, odhaczyć wszystkie miejsca do zwiedzenia z listy. Pewnie każdy pamięta ten pośpiech, chociażby z zaplanowanych co do minuty wycieczek szkolnych, kiedy przechodziło się od jednego zabytku do drugiego, byle tylko zobaczyć wszystkie najważniejsze miejsca i wykorzystać wyjazd w stu procentach.

Podczas swojego pierwszego wyjazdu po skończeniu szkoły od razu pomyślałam o tym, jak dobrze móc w końcu zwyczajnie spacerować po mieście, a nie biegać całymi dniami po muzeach i zabytkach. Niemniej jednak Luca Spaghetti ma rację – paradoksalnie, wakacje i urlopy są dla większości turystów czasem, kiedy odczuwają dużą presję zrobienia jak największej, zobaczenia jak największej. W efekcie trudno jest sobie pozwolić na oddanie się chwili i faktyczne skupienie się na przyjemności. Jednak filozofia

Dolce far niente



Restauracja w centrum Rzymu około południa

nia dolce far niente nie jest oczywiście w żaden sposób zarezerwowana tylko na wyjazdy i urlopy.

Odpoczynek w kulcie produktywności

Żyjąc według maksymy dolce far niente, nie powinniśmy czuć się winni, kiedy przez cały dzień nie zrobimy nic powszechnie uważanego za produktywnie. Wstaliście z łóżka o 11? Super. Oglądaliście serial cały dzień, bo mieliście na to ochotę? Jeszcze lepiej. Chodzi głównie o to, by w pewnym sensie odpoczywać ‘z głową’ i świadomie. Zmuszanie się do czytania książki, jednocześnie odbiegając myślami do wszystkich swoich obowiązków, nie jest odpoczynkiem – co najwyżej stresowaniem się z książką w rękę.

W tym aspekcie dolce far niente przypomina carpe diem Horacego, ponieważ skupia się na tym, co tu i teraz, całkowicie się temu

oddając. Traktuje odpoczynek jak każdą inną czynność – najlepsze efekty otrzymamy wtedy, kiedy naszą uwagę poświęcimy właśnie tej pojedynczej czynności, bez rozpraszania się innymi.

W skrócie, dolce far niente to oddanie się lenistwu bez poczucia winy, szczerze, wtedy, gdy tego naprawdę potrzebujemy. Filozofia polegająca na zatrzymaniu się i odpoczynku wydaje się szczególnie potrzebna teraz w świecie, który i tak nieustannie wymyka nam się z rąk, nieważne, jak bardzo staramy się za nim nadążyć.

O hygge już słyszeliśmy

Jeszcze kilka lat temu, duńskie słowo „hygge” oznaczające komfort, wygodę, przytulność było niemalże wszędzie – w mediach społecznościowych, książkach, codziennych rozmowach osób, które ciekawiła ta ‘nowa’ filozofia. Czy inne państwa również mają indywidualną receptę na szczęście? Okazuje się, że jak najbardziej.

„Hakuna Matata” (nie martw się, wszystko będzie dobrze), chociażby jest jedną z nich. Afrykańczycy używają wielu sformułowań, które mają rozweselić czy dodać motywacji. Z kolei w krajach arabskich, szczęście wiąże się z religią, ponieważ używa się tam zwrotu „Inszalla” oznaczającego „jak Bóg da” lub „z bożą pomocą”. W Tajlandii liczy się przede wszystkim „Jai Yen” – zimna krew, opanowanie, które pozwalają zaakceptować los oraz skutecznie rozwiązywać problemy.

Finowie uważają, że każdy powinien mieć „Sisu”, czyli wytrzymałość, upór, siłę woli, hart ducha, odwagę, dumę i determinację w dążeniu do określonego celu. Ten zespół cech pozwala skutecznie stawiać czoła wszelkim wyzwaniom. Sztuka szwedzkiego życia opiera się na „Lagom”, co oznacza po prostu „w sam raz”. To życie oparte na równowadze.

Natomiast w Japonii szczęście wynika z bycia stale zajęтым – „Ikigai”. Jednakże nie chodzi stricte o ciężką pracę od rana do wieczora, a raczej o pozostawanie w trybie flow, ciągłej kontynuacji robienia czegoś, co uważamy za wartościowe.

Jak widać włoska filozofia dolce far niente to jedna z wielu recept na szczęśliwe życie. Wydaje się dosyć łatwa do zastosowania, jednak w praktyce, w obecnej kulturze ceniącej produktywność ponad wszystko, może się okazać wyzwaniem. Dlatego tym bardziej warto sobie o dolce far niente czasem przypominać, bo w szkole, pracy czy codziennym życiu wciąż nie słyszy się zbyt często o tym, jak ważne jest, by od czasu do czasu sobie poleniuchować.

Daria BAJOREK
darbaj@st.amu.edu.pl

Paryż jest miastem miłości i dobrego jedzenia, tak przynajmniej opisywany jest w książkach i filmach. Od dawna chciałam zwiedzić stolicę Francji. Największy wpływ na moją decyzję miał znany serial Netflixa: „Emily in Paris”. Dobrą okazją do spełnienia marzenia była majówka.

Miałam szczęście zobaczyć Paryż przy słonecznej i ładnej pogodzie, która umożliwiła długie spacerowanie i korzystanie z przytulnych kawiarenek, gdzie można było poczuć prawdziwy klimat miasta.

Jako pierwszą w stolicy Francji zwiedziłam Wieżę Eiffla. Ludzie mają różne zdanie na jej temat, ale według mnie, jest to urocza konstrukcja, która uzupełnia miasto i jest dobrym drogowskazem, ponieważ patrząc na jej szczyt nigdy się nie zgubisz. W nocy wieża jest niesamowita, nadaje Paryżowi luksusowego klimatu i inspirowanie do nowych podróży, które ubarwiają nasze życie i nadają mu sens. Niestety, w takich przetłoczonych miastach trzeba uważać na swoje torebki, ponieważ złodziej nie śpi, a Paryż słynie z kradzieży na ulicy. W niektórych dzielnicach nawet odbywa się sprzedaż kradzionych rzeczy.

Idąc wzdłuż Sekwany można się zachwycić paryską architekturą, bo po każdej stronie stoi znany budynek. Polecam skorzystać z wycieczki statkiem, która wzbogaci wrażenia. W trakcie zwiedzania Paryża z wody można zobaczyć słynną katedrę Notre-Dame de Paris, wyspę Canté, muzeum d’Orsay.

Wstęp do większości muzeów jest darmowy dla mieszkańców Unii Europejskiej, a za-

Paryskie szaleństwo



Paryż z mojej perspektywy

tem warto znaleźć czas na zapoznanie się z dziełami sztuki w Luwrze. Trzeba być przygotowanym na długie kolejki, nawet z biletami zakupionymi przez internet, ale czekanie się opłaca, ponieważ budynek jest potężny, a dzięki wystawom można przenieść się przez Egipt do Grecji, a dalej nawet do Włoch. Kolejnym „must-havem” na liście podróżnika jest Sainte Chapelle. To starożytna trzynastowieczna perełka gotyku, która z zewnątrz może nawet nie przyciągać uwagi i dopiero po wejściu do środka pozwala zrozumieć swoje piękno, które widzimy dzięki różnym witrażom, które zachwycają swoimi kolorami oraz detalami.

Jak już wspominałam, w Paryżu łatwo się orientować w terenie. Od Łuku Triumfalnego wszystkie drogi są skierowane do centrum, więc uda się zobaczyć najważniejsze zabytki, odpocząć w parku Łuksemburskim, zamówić gratin z kaczką w lokalnej restauracji, a pod wieczór spróbować ślimaków oraz żabich udek. Nie można ominąć również dzielnicy Montmartre, która jest przykładem idealnej francuskiej wioski. Dzielnica jest bardzo spokojna, ale pełna przepięknych budynków, kościołów, restauracji i bistro. Warto dodać, że pierwsze bistro na świecie zostało otworzone akurat tam, po wojnie z Napoleonem.

Jeżeli nadal ktoś się waha, czy jechać, czy nie, zapewniam, że zawsze warto. Paryż jest miastem specyficznym, jednemu przypadnie do serca, a drugiemu nawet nie będzie się chciało wracać. To kwestia gustu, ale jedno jest pewne: warto podróżować!

Anastasiya SHCHERBA
anashc@st.amu.edu.pl

Bezowo mi, czyli trochę o „Słońcu majowym” i o poezji

Wyobraźcie sobie słoneczne niedzielne południe. Przychodźcie na werandę i siadacie do stołu, gdzie czeka na was imbryk świeżo zaparzonej herbaty. Ptaki świergoczą, pszczoły brzęczą i zapylają kolejne pąki kwiatów, a w oddali słychać brzmienia trąbki, grającej hejnał z Wieży Mariackiej. Gdzie jesteśmy? W rezydencji Józefa i Jadwigi Mehofferów w Krakowie przy ulicy Krupniczej 26. Poznaj dalszy smak i woń klimatu obecnego w obrazie „Słońce majowe”.

Wiosna, ach to ty! Co roku słowami z utworu Marka Grechuty wkraczamy w moment powrotu natury do życia. Pierwsze zachwyty nad promieniami słońca padającymi na nasze lica, wsłuchiwanie się w brzmienie dźwięczących przebiśniegów czy pobudka fauny z zimowego snu to kadry, które z ogromną sympatią zawsze podziwiam i ubóstwiam.

Po zimowym okresie przepelnionym monochromatycznymi, ciemnymi i przybitymi barwami wracam z nową energią wraz z początkiem wiosny, która cieszy oko i duszę. Wpływa ona na naszą moc do twórczego działania i realizowania wszelkich celów. Wiosna to najlepszy czas, by w skrzydłach puścić wiatr, który nieustannie fascynuje artystów do utrwalenia jej malowniczych widoków na płótnie.

Gdy to piszę, majowe słońce ogrzewa każdy skrawek duszy i ziemi, mniszki lekarskie pokrywają ogromne połacie pól i łąk, kwiaty wiśni targane ciepłym wiatrem zapraszają do swojego nastrojowego tańca, trzmielce i pszczoły ochoczo zapylają barwne tulipany, a bezowa woń penetruje nasze zmysły. Nic nas tak nie uspokoi, jak imbryczek z herbatą, którego apoliński aromat wtapia się w tę różnorodność wysublimowanych zapachów.

Identyczną sensualność przeżywam podczas podziwiania obrazu przedstawiającego „idealną rezydencję” jednego z najwybitniejszych malarzy, piewcy secesyjnego arcyzmu w polskiej sztuce, czyli Józefa Mehoffera w dziele zatytułowanym „Słońce majowe”.



„Słońce majowe” Józefa Mehoffera

Eteryzna wizja piękna i harmonii natury z człowiekiem

Scena zaprezentowana na płótnie ma miejsce w słoneczne, majowe południe w krakowskiej posiadłości rodziny Mehofferów. Wypełniona pogodnymi barwami flory przestrzeń werandy staje się miejscem niezwykle klimatycznym. Miejscem przepelnionym cudowną aurą, w którym chciałoby się spędzić cały dzień, jedynie podziwiając kwietne rubieże obecne w znajdującym się obok kamienicy ogrodzie.

Sama willa była istotną strefą w życiu i twórczości artysty. Dopracowany i zaprojektowany przez malarza obszar miał stać się arcydijską prywatnością, w której domowe ognisko oraz majestat deko-

racji wnętrza domu gościłyby w każdej chwili. To właśnie ta wyjątkowa kamienica stała się źródłem inspiracji dla wielu znamienitych dzieł artysty. Przede wszystkim uwielbiał przedstawiać swoją żonę w wystawnych i bogato zdobionych sukniach na tle pokoju dziennego.

W obrazach tych widać fascynację chwilowym, krótkotrwałym momentem, występującą w impresjonistycznych dziełach. Impresja wybiła się również w paletce barw. Uwidacznia nam się również w kwiatkach, które właśnie zagościły w cudownym ogrodzie. Emanują swoim pięknem i szlachetnością, dając nadzieję i radość na kolejne majowe dni.

„Przyniosłeś mi bez pięciolistny...”

Mehoffer żywił szczególne uwielbienie dla róż i bzów, które nadają odpowiedniego, ciepłego koloru obrazowi. Co takiego w sobie mają kwiaty, że dla wielu artystów stają się źródłem inspiracji i odnowy vitalnej? Swoista tęsknota za naturą i za tym, co pierwotne?

Przede wszystkim zachwycają swoją różnorodnością, kształtami, żywymi kolorami i formami. Barwy kwiatostanu to także przewaga zieleni, która w okresie wiosenno-letnim działa na nas kojąco i terapeutycznie. Krocząc wzdłuż zielonych alei, możemy się zanurzyć w myślach i odpocząć. Rośliny w domu, w pracy, czy po prostu w naszym otoczeniu są oazą spokoju, która pomaga nam zrelaksować się po ciężkim i stresującym dniu.

Bez pachniał bzem najczęściej

i przekwitł o swojej porze.

Zostało po nim szczęście

w liliowo bżowym kolorze.

Przepiękny fragment wiersza „Bez” Agnieszki Osieckiej sprawia, że wspólnie z prezentowanym obrazem przeżywamy te zapachy w taki sposób, jakbyśmy siedzieli obok Józefa Mehoffera i zachwycali się smakiem doskonale zaparzonej herbaty. Sensualne wrażenia poezji zapraszają nas do pobytu w „raju” i zachwycania się promieniami słońca. Czujemy, jak nasza twarz się uśmiecha, a w głębi duszy rośnie nadzieja, która niech kwitnie tak, jak otaczająca nas przyroda w maju.

Adam CHĘCIŃSKI
adache1@st.amu.edu.pl

Festiwal Filmowy w Cannes 2022

Przez ostatnie 30 lat festiwale filmowe bardzo dynamicznie się rozwijały. Obecnie na świecie odbywa się ich już ponad 3000 – od niskobudżetowych lub ultrakrótkich przeglądów, po najszlachetniejszy pokaz filmowy na świecie, który odbywa się w Cannes.

Ze względu na dominację filmów hollywoodzkich w kinach widzowie muszą mieć możliwość oglądania również czegoś „innego” – eksperymentalnego, autorskiego, co czasami wyprzedza modę i ma szansę pozostać w historii, ale nie ma okazji pojawić się w kinach tu i teraz.

Szansa dla wszystkich

Tylko duże festiwale mogą wpłynąć na losy takiego filmu, pomóc znaleźć widza lub przygotować grunt pod wprowadzenie do kina autorskiego. Jednak trzy tysiące festiwali na całym świecie pozwala widzowi prawie każdego dużego miasta przynajmniej raz w roku dotknąć autentycznego współczesnego kina, a nawet spojrzeć na zagraniczne gwiazdy. Obecnie festiwale odbywające się nawet w najbardziej odległych zakątkach planety, pozwalają europejskim selekcjonerom festiwalowym znaleźć obiecujących młodych reżyserów i zaprosić ich na duże przeglądy w Europie.

Festiwal Filmowy w Cannes jest największym i najbardziej wpływowym festiwalem filmowym na świecie (choć nie najstarszym). Dotarcie tutaj jest niezwykle trudne, ale możliwość, jak pokazuje praktyka, zawsze pozostaje. Jedną z kluczowych postaci festiwalu przez kilkadziesiąt lat był Gilles Jacob — dyrektor wykonawczy, a później prezes tego przedsięwzięcia. Jego zadaniem było poszukiwanie nazwisk i filmów nie tyle aktualnych dzisiaj, ile potencjalnie istotnych jutro i zdolnych do stworzenia pewnego trendu przez co najmniej 5 lat w naszym zmieniającym się świecie. To Gilles Jacob dostrzegł ogromny potencjał amerykańskiego kina i wyniósł na piedestał Stevena Soderbergha, Davida Lyncha, braci Coen i Quentina Tarantino.

Historia powstania

Aż do powstania Festiwalu Filmowego w Cannes to The Venice był największym wydarzeniem filmowym w Europie. Jednak podczas festiwalu w 1938 roku pod naciskiem Hitlera i Mus-



Plakat 75 Festiwalu Filmowego w Cannes poświęcony „The Truman Show”

soliniego sędziowie zagłosowali za filmem o nazistowskiej propagandzie, który został dopuszczony i pokazany na festiwalu.

To skłoniło francuskiego reżysera Philippe’a Erlangera do złożenia wniosku o utworzenie ogólnodostępnego festiwalu filmowego, który nie będzie odbywał się pod presją polityczną. Po serii niepowodzeń Festiwal Filmowy w Cannes zadebiutował we wrześniu 1946 roku.

Co nas czeka w 2022 roku

75. Festiwal Filmowy w Cannes potrwa do 28 maja. Tradycyjnie otwarcie odbywało się w środę, tym razem, już po raz trzeci, przegląd zaczął się we wtorek wieczór. To pierwszy festiwal po 2020 roku (74. został przesunięty na lato), który odbywa się wiosną, zgodnie z tradycją.

Wydarzenie rozpoczął film „Z” francuskiego reżysera Michela Hazanaviciusa. Dzieło zostało pokazane poza programem konkursowym. W Anglii film otrzymał tytuł „Final Cut”. To komedia o zombie — francuski remake japońskiego filmu z 2017 roku „Strzelanie bez hamulców”. W głównych rolach wystąpili Romain Duris i Berenice Bejo.

Oprócz filmu Hazanaviciusa poza konkursem w Cannes pokazano lub będą pokazane: „Maverick” Josepha Kosińskiego, „Elvis” Baza Luhrmanna, „Trzy tysiące lat tęsknoty” George’a Millera, „Październik” Cedrica Jimeneza i „Masquerade” Nicolasa Bedosa.

Tym razem program jest również poświęcony ukraińskiemu filmowi. W ten sposób organizatorzy festiwalu postanowili wesprzeć Ukrainę, która walczy z agresją Rosji. Swoją premierę na przeglądzie ma ukraiński film o dziewczynie w niewoli „Wizja motyla”. To debiutu ukraińskiego reżysera Maksyma Grochnego. „Wizja motyla” to złożony dramat psychologiczny, oparty na prawdziwej historii wojny rosyjsko-ukraińskiej w Donbasie, a mianowicie historii lotniczki, która mierzy się z konsekwencjami powrotu z niewoli.

Wcześniej organizatorzy ogłosili, że z powodu wydarzeń w Ukrainie, na festiwal nie zostanie wpuszczona oficjalna delegacja rosyjska, podobnie jak osoby związane z tamtejszym rządem. Jednak rosyjskie filmy są prezentowane na festiwalu.

Jaka jest dziś rola festiwali?

Z jednej strony można powiedzieć, że festiwale nie zawsze stają się dobrymi przewodnikami w świecie sztuki. Uwagę na globalne filmy często zwraca się wiele lat po ich premierze, a większość filmów, które dziś są uważane za najlepsze produkcje wszech czasów, ma dość skromną historię festiwalową.

Z drugiej strony, festiwale dają możliwość obejrzenia oryginalnego kina autorskiego na dużym ekranie, które w zwykłych warunkach mogłoby po prostu nie trafić do kin. Za to filmy, które wygrywają na największych festiwalach filmowych, nawet jeśli nie przejdą na zawsze do historii kina, to chociaż znajdą swoich widzów, którzy nie pozostaną obojętni.

Oleksandra DUBOVA
oledub@st.amu.edu.pl

Dwóch chłopaków, jedna szkoła, pełno przeszkód i uczucie, które ich połączyło. A to wszystko w najnowszym ośmiu-odcinkowym serialu Netflix, który już zdążył podbić serca widzów.

Dzielo Alice Oseman, które ma wielu fanów już od czasów, gdy było tylko internetowym komiksem (według autorki dzieło ma już ponad 52 miliony wyświetleń), można zobaczyć na ekranie telewizora lub komputera od 22 kwietnia 2022 roku. Serial miał swoją premierę w serwisie streamingowym Netflix. W głównych rolach wystąpili Kit Connor jako Nick Nelson oraz Joe Locke jako Charlie Spring.

„Heartstopper” jest lekką, około czterogodzinną przygodą dwóch brytyjskich nastolatków, którzy poznają się i w ciągu roku szkolnego zakochują się w sobie. Mimo tego, że serial zahacza o poważniejsze tematy, takie jak gnębienie, homofobia czy też brak akceptacji samego siebie, jest on przede wszystkim luźnym romanssem – czymś, czego boleśnie brakowało społeczności LGBT+. Dodatkowo porusza on wiele wątków dotyczących tej społeczności, co może pomóc dzieciakom oglądającym serial w zrozumieniu siebie i swoich bliskich.

Fabula „Heartstoppera” opowiada o Charliem Springu, który jest „wyoutowanym” gejem w szkole dla chłopców. Spotyka się on z Benem (Sebastian Croft) w tajemnicy przed resztą uczniów, gdyż ten nie chce się do niego przyznawać, igno-

„Heartstopper” – serial, który zamiast zwalniać, przyspiesza bicie serca



Prosty, przyjemny romans idealny dla każdego, już na Netflix!

rując Charliego, gdy nie są sami. Główny bohater powoli dochodzi do siebie po traumatycznym poprzednim roku, gdy był gnębiony przez starszych uczniów, po tym jak ci dowiedzieli się o jego orientacji seksualnej.

Niestety sprawy z Benem nie idą po jego myśli i nieszczęśliwy związek dobiega swojego smutnego końca. Jednak wkrótce Charlie zakochuje się w swoim nowym koledze, Nicku Nelsonie, z którym został posadzony w jednej ławce. Jest on popularnym członkiem drużyny rugby, z którym pozornie Charlie nie ma nic wspólnego. To, co wy-

gląda jak nieodwzajemniona miłość, wkrótce przeradza się w coś więcej.

Jednak Nick i Charlie to nie jedyni bohaterowie „Heartstoppera”, których wątki zostały poruszone w ciągu trwania serialu. Dużą rolę w historii odgrywa również Elle Argent (w tej roli Yasmin Finney), transpłciowa nastolatka, bliska przyjaciółka Charliego. Dziewczynę spotyka wiele nieprzyjemności z tego względu, które również pokazane są w serialu. Jednak pomimo to jest ona w stanie dzielnie iść przed siebie i nie wstydzi się tego, kim jest. Co może zainspirować wiele

młodych osób borykających się z problemami z własną tożsamością płciową.

Dużym plusem serialu o nastolatkach jest to, że w końcu grani są oni przez samych nastolatków, a nie jak to zazwyczaj bywa, przez osoby, które dawno już nimi nie są. Aktorzy zostali znakomicie dobrani do swoich ról i dobrze odwzorowali swoje komiksowe odpowiedniki.

Poza tym bohaterowie „Heartstoppera” to nastolatki, z którymi mógłbyś spotkać się w prawdziwym życiu. Są tacy sami jak inni, zwykli, zmagający się z problemami typowymi dla wieku dorastania. To nie dzieciaki przepełnione buntem, uzależnione od narkotyków czy seksu, jak to zwykle przedstawia się w filmach czy wielu serialach.

Wśród zalet trzeba również wymienić fakt, że historia ożywna jest elementami graficznymi prosto z komiksu, które wspaniale komponują się z żywymi ujęciami oraz przyjemną ścieżką dźwiękową.

Podsumowując, „Heartstopper” to jeden z najlepszych seriali dla nastolatków, jakie kiedykolwiek oferował swoim użytkownikom Netflix. Jest on po prostu kwintesencją radości i szczęścia, dzięki czemu podczas oglądania wywołuje na twarzach widzów uśmiech. Trudno się w nim nie zakochać.

Olga MICHALSKA
olgmic3@st.amu.edu.pl

Wielki powrót vintage

Kiedyś zakładanie ubrań po babci wiązało się z obciążeniem. Dziś staje się najnowszym krzykiem mody. Gwiazdy na czerwonych dywanach chwala się swoimi kreacjami w stylu lat siedemdziesiątych, a nastolatki wzorują się na stylizacjach, których nie powstydziliby się ich rodzice w czasach szkolnych.

W świecie wszechobecnego nurtu fast fashion noszenie ubrań uszytych w ubiegłym wieku przeciwstawia się konsumpcjonizmowi i wyszkowi pracowników fabryk należących do ogromnych firm odzieżowych. Dodatkowo, ma wiele korzyści dla środowiska naturalnego. Z tego powodu vintage shopy, sprzedające z pozoru „babciowe” ubrania, wyrastają ostatnio niczym grzyby po deszczu.

Styl vintage zaistniał w modzie już w XIX wieku. Jego najważniejszą cechą jest wykorzystywanie w stylizacjach odzieży z poprzedniej epoki. Obecnie ubrania vintage pochodzą z ubiegłych dekad — licząc od lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Przyjmuje się, że odzież starsza niż dwadzieścia lat to już odzież vintage.

Co wyróżnia ubrania w stylu vintage?

Są to przede wszystkim produkty wykonane z wysokiej jakości materiałów i mało podatne na zniszczenia. Sam upływ czasu, wypłowień czy przetarcia nadają im jedynie szlachetności. Charakterystyczne są klasycznymi krojami, których ponadczasowość podziwiana jest po dziś dzień. Elegancja i szykowność ubrań w stylu vintage wpasowuje się w każde panujące trendy w modzie.

Ponadto praktyczne rozwiązania wykorzystywane przez krawców w XX wieku zasługują na szczególny podziw. Zapięcia, klapy, paski, sprzączki, wewnętrzne i zewnętrzne kieszenie zapewniają niesamowitą wygodę użytkownikom ubrań z poprzedniej epoki. Ciekawymi rozwiązaniami są możliwości różnego wykorzystania jednego ubioru, takie jak warstwowe, odpinane spódnice.

Warto zauważyć, że ubrania w stylu vintage były szyte z należytą pieczołowitością. Dbano przy tym o każdą zaszewkę, wszyte metki, przymocowanie koronki czy detale na guzikach. Wszystko to sprawiało, że każda część garderoby w stylu vintage była spersonalizowana i posiadała indywidualne cechy. Utraciła je za to odzież produkowana na masową skalę.

W ubraniach w stylu vintage królują klasyczne i pasujące do wszystkiego wzory, na przykład kropki, paski, kratki czy kwiaty. Zastosowane w nich materiały są nadzwyczaj trwałe. Produkty vintage tworzone były zazwyczaj z materiałów takich jak płótno, kaszmir, wiskoza, bawełna, jedwab czy len.

Warto zauważyć, że ubrania te występują często w większej rozpiętości rozmiarów. Vintage shopy są więc dobre dla osób nie-



Vintage shopy oferują klasyczną odzież wysokiej jakości i przeciwstawiają się nurtowi fast fashion.

mogących odnaleźć w popularnych sieciówkach odpowiednich dla siebie ubrań. Vintage nie stroni od zestawień awangardowych i szokujących, takich jak połączenia swetrów i gorsetów. Jest to styl przede wszystkim dla tych, którzy chcą pokazać swój indywidualizm.

Czym różnią się second-hand i vintage shopy?

Wbrew pozorom second-hand, nazywany popularnie lumpeksiem, to nie to samo, co vintage shop. Second-hand bowiem to prawdziwy mieszmasz asortymentu. Znajdziemy w nich działy z tekstyliami domowymi, naczyńiami, a nawet książkami i płytami. Chociaż odzież w lumpeksach jest selekcyjowana, to znajduje się w nich wszystko — od końcówek kolekcji ze sklepów z obecnego sezonu po wspomniane ubrania vintage.

Vintage shopy natomiast to odrębna kategoria sklepów z odzieżą używaną. Aura sklepów vintage przynosi klientom w czasie do poprzedniej epoki. Często ich wystroj czy płynąca z głośników muzyka nawiązuje do minionych lat. Vintage to historia zawarta w ubiorze, dlatego vintage shopy sprzedają tylko wyselekcjonowane kolekcje, sięgające nawet lat sześćdziesiątych. Są również sklepy, które specjalizują się w sprzedaży ubrań vintage pochodzących tylko od znanych marek modowych na przykład Coco Chanel, Dolce & Gabbana, Gucci, Balenciaga czy Prada.

Jak kupować w vintage shopach?

Obecnie sklepy stacjonarne i butiki internetowe oparte na strategii vintage i selekcji ubrań z drugiej ręki stają się coraz popularniejsze. Można z nich korzystać na różne sposoby — przeczesywać je w poszukiwaniu modowych perełek, porównywać obowiązujące w nich ceny i jakość towaru albo zawęzić poszukiwania do określonych rodzajów ubrań.

Znalezione w vintage shopach ogromne marynarki, jedwabne koszule, japońskie kimono, gorsety czy kaszmirowe sweterki łączo-

ne z nowoczesnymi ubraniami mogą stworzyć niezapomniane i szalone stylizacje bardzo niskim kosztem. Takie „polowanie na skarby” wbrew pozorom wcale nie jest drogą rozrywką. Często ceny w vintage shopach są kilkakrotnie niższe niż w sieciówkach.

Kwestia, którą należy wziąć pod uwagę, kupując w vintage shopach, to przede wszystkim skład przymierzanych ubrań. Można się bardzo miło zaskoczyć, odkrywając, że sukienka z lat siedemdziesiątych wykonana jest bez dodatków nieprzepuszczających powietrza poliestrów, a zawiera 100 procent lnu, wiskozy czy jedwabiu. Warto też sprawdzać metki, ponieważ podczas zakupów może się okazać, że trzymamy w rękach prawdziwą spódnicę Prady czy koszulę Gucci.

Trzeba pamiętać, że dawniej obowiązywała inna tabela rozmiarów niż od XS do XL, czy od 34 do 42, które spotykamy we współczesnych sklepach. Wiązało się to głównie z tym, że dawniej kobiety często nosiły gorsety, a rozmiary były przez to sztucznie заниżone. Nie należy się również zrażać, napotykając piękną i oryginalną marynarkę w za dużym rozmiarze. Często sklepy vintage oferują dopasowywanie ubioru do rozmiaru klienta. Jeśli jednak zwężenie nie wchodzi w grę, trzeba pamiętać, że oversize nie wchodzi z mody i króluje również na współczesnych wybiegach.

Styl vintage a kwestie etyczne i klimatyczne

Rosnąca świadomość społeczeństwa dotycząca zmian klimatycznych wpłynęła również na rynek odzieżowy. Przemysł tekstylny znacząco zaturuwa środowisko naturalne. Podczas masowej produkcji ubrań niszczy się ogromne ilości zasobów, zanieczyszcza hektolitry wody i obniża jakość powietrza przez ilość emitowanych do niego spalin. Aby nie dokładać swojej cegiełki do globalnego ocieplenia, klienci coraz częściej decydują się na kupowanie ubrań z drugiego obiegu.

Tutaj wychodzi im naprzeciw idea vintage shopów, stojąca w opozycji do powtarzalności ubrań z sieciówek i ich niskiej jakości. Warto również wspomnieć, że zmniejszenie popytu na tanie ubrania, które są produkowane w krajach Trzeciego Świata przez dzieci pracujące za głodowe wynagrodzenia, zmniejszy w końcu ich podaż. Istnieje szansa, że zwiększenie popularności vintage shopów, zmniejszy liczbę osób wykonujących prace zagrażające zdrowiu i życiu.

„Vintage” to z angielskiego „szlachetny”, „z dobrego rocznika” oraz „stylowy”. To tłumaczenie bardzo dobrze oddaje naturę ubrań w stylu vintage. Ich ponadczasowość, trwałość, jakość wykonania i spersonalizowany charakter do dzisiaj zachwyca najlepszych stylistów. Wyrazem tego jest wzrastająca popularność vintage shopów oferujących ubrania z poprzednich epok, a których istnienie przeciwstawia się bezmyślnemu konsumpcjonizmowi, wyszkowi najuboższych i wyniszczaniu środowiska.

Natalia BUDNA
natbud2@st.amu.edu.pl

„Ma przede wszystkim chronić, przynosić szczęście, wywoływać płodność” – takie funkcje przypisali ozdobom organizatorzy wystawy „Etniczna biżuteria świata”. Co jeszcze mogą symbolizować wyroby jubilerskie i jak wygląda to w różnych częściach globu?

Podróżniczka i współzałożycielka marki YES, Maria Magdalena Kwiatkiewicz, w trakcie swoich wypraw poznała tradycje wielu kultur. W tym celu przemierzyła tereny od Ameryki Południowej aż po Azję. Oprócz wspomnień przywoziła również coś namacalnego. Tą pamiątką była właśnie biżuteria. Posiada ona nie tylko walory estetyczne, ale jest również nośnikiem kodu kulturowego.

Podróżniczka osobiście kupiła każdy z okazów od właścicielek, tak aby nie były one stratne finansowo. Ponad 90 eksponatów z wypraw Kwiatkiewicz zostało zgromadzonych w poznańskiej Galerii YES, dzięki czemu odwiedzający mogli spojrzeć na wyroby jubilerskie z innej perspektywy.

Pokaż, conosisz, a powiem ci kim jesteś

Prawdą jest, że nie szata zdobi człowieka, lecz w niektórych społecznościach rodzaj noszonej ozdoby odzwierciedla pozycję danej jednostki. Przykładowo w mieście Leh, położonym w Indiach, długość i ilość naszytych kamieni na perak, czyli na nakryciu głowy panny młodej, świadczy o zamożności. Biżuteria pełni funkcję informacyjną, ale również identyfikacyjną.

Biżuteria niejedno ma imię

Jest tak w przypadku niektórych mieszkańców Sahary, którzy by móc rozpoznawać, kto należy do ich plemienia, noszą „paszporty przez pustynię”. Pod nazwą tą kryją się naszyjniki z zawieszonymi krzyżami, mające charakterystyczne kształty w zależności od tego, z jakiej oazy pochodzi podróżnik. Odczytywanie płynących z nich sygnałów może mieć szczególne znaczenie w przypadku konieczności udzielania schronienia „swoim”.

Więcej niż dobro materialne

Nie sposób pominąć rangi biżuterii w różnego rodzaju obrzędach, ocierających się o sferę wierzeń czy magii. W wiosce Wachirpas w Ekwadorze szaman zakłada do ceremonii koronę z ptasich piór, a na twarzy maluje cętki, upodabniając się do jaguara. Odpowiednie przygotowanie jest konieczne przed przystąpieniem do uzdrawiania. Z kolei w rejonie Ladakh w Indiach ozdobą pełniącą sakralną funkcję jest Mala, czyli modlitewny sznur do odmawiania buddyjskich mantr.

Biżuteria odgrywa dla wierzących istotną rolę nie tylko za życia, ale również po śmierci, o czym świadczy zwyczaj chowania zmarłych wodzów w ich tradycyjnych ozdobach, symbolizujących władzę. Na wystawie w Galerii YES można zobaczyć zdjęcie przedstawiające mumię z wioski Kurułu w Papui i przekonać się, że w niektórych kulturach nie istnieje granica, kiedy biżuteria przestaje być częścią tożsamości danej osoby.



Każda z ozdób posiada symboliczne znaczenie

Koloryt lokalny

W zależności od geograficznego położenia regionu ludność dysponuje innymi surowcami do tworzenia ozdób. Ze względu na pamy klimat ubiór mężczyzn z Doliny Baliem w Papui jest niezwykle skąpy. Noszą oni jedynie kotekę, która zasłania miejsca intymne. Zupełnym przeciwieństwem jest wielki metalowy pas zakładany na strój z długimi rękawami przez tybetańskie kobiety. W tej kulturze ciężka srebna ozdoba stanowi najcenniejszy rodzinny skarb. Nie tylko wykonane z surowców przedmioty mogą być uważane za element ozdobny, o czym świadczą malowane na dłoniach i stopach w północnych Indiach wzory z henny, informujące o tym, że kobieta jest zamężna.

Te i wiele innych fascynujących historii przedstawiono na wystawie „Etniczna biżuteria świata”. Oprócz eksponatów i barwnych fotografii zwiedzającym towarzyszyła również oprowadzająca po ekspozycji dyrektorka Galerii YES Ilona Rosiak. Wystawę można zwiedzać do 22 maja, a wstęp jest bezpłatny.

Przyglądając się zróżnicowanemu podejściu do biżuterii, warto zastanowić się nad tym, jak bardzo umowne są kanony piękna. To, co może uchodzić za atrakcyjne w jednej społeczności, może w innej być niedopuszczalne. Z drugiej strony, czyż nie wszyscy chcemy móc podkreślać swoją indywidualność?

Milena GUZIK
milguz@st.amu.edu.pl

Bliskość, która dzieli – zespół Madonny i ladacznicy

Sielankowy obraz miłości, w którym dwoje ludzi zakochuje się w sobie od pierwszego wejrzenia, a potem żyje długo i szczęśliwie, występuje głównie w filmach. W rzeczywistości związki doświadczają zarówno chwil euforii, jak i kryzysów. W przypadku wielu par przyczyną trudności w relacjach może być tzw. zespół Madonny i ladacznicy, czyli zaburzenie psychiczne, będące wynikiem stereotypizacji obrazu kobiet przez długie lata.

Psychoanalityk Renshav, aby zobrazować sposób postrzegania kobiet w kręgu kultury zachodniej, skonstruował i opisał modele dwóch skrajnie różniących się od siebie żeńskich postaci – Madonny i ladacznicy. Celem analizy nie tylko było dostrzeżenie problemu szuladkowania kobiet, ale przede wszystkim ukazanie podziału bliskości na tę emocjonalną i seksualną. Bliskości, która paradoksalnie może dzielić i prowadzić do problemów w sferze życia seksualnego.

To co z tą kurą domową?

Madonna to kobieta mająca pełną świadomość, że spełnienie funkcji prokreacyjnej rodziny jest jej życiowym celem. Najczęściej cechuje się troskliwym, pokornym uosobieniem. Spełnia się w roli kochającej matki i świetnej kucharki w domu. Mężczyźni przy takim modelu kobiety mają poczucie bezpieczeństwa, nie muszą obawiać się o zdradę. Ciepło, jakim Madonna obdarowuje, zaspokaja potrzebę bliskości emocjonalnej. Problem w tym, że nie zawsze idzie to w parze z potrzebami seksualnymi drugiej połowki.

Postrzeganie kobiety w ten sposób często wiąże się z przyklejeniem jej łatki osoby cnotliwej. Zniekształcona idealizacja sprawia, że w

głowie partnera pojawiają się myśli – „tego z żoną robić nie wypada” albo „takiej szanującej się kobiecie to nie przystoi”. Tu właśnie leży sedno problemu. Dotknięci syndromem Madonny i ladacznicy mężczyźni dzielą bliskość na emocjonalną i seksualną. Nie są w stanie połączyć ich obu, ponieważ realizacja fantazji seksualnych z Madonną, którą szanują, wydaje się po prostu niemoralna.

Pożądanie bez szacunku

Zupełnie inne cechy prezentuje opisany przez Renshava model ladacznicy. Tę z kolei cechuje zmysłowość, nieprzewidywalność i świadomość swojej atrakcyjności. Borykający się z opisywanym zaburzeniem mężczyźni są w stanie osiągnąć pełnię wrażeń seksualnych tylko z kobietą, która nie czuje potrzeby bliskości emocjonalnej. Ladacznicy się nie ceni, tylko pożąda.

Oczywiście model opisany jest tak, aby jak najlepiej zobrazować zniekształcenie i przedstawia tę najbardziej radykalną wersję postrzegania kobiet przez niektórych mężczyzn. Wydaje się przez to mocno przerysowany. Gdybyśmy jednak zamiast określenia „ladacznica”, wstawili słowo „łatwa”, to opisane przez Renshava schematy zachowań stają się realiami życia codziennego. Współczesne społeczeństwo ma skłonność określać tak kobiety, które nie czują potrzeby budowania więzi emocjonalnych z partnerami seksualnymi i nie chcą wchodzić w stałe relacje. Seks traktują jako przyjemność, a nie wyraz miłości.

Łatka nieprzyzwoitości i przyzmat cnoty

Kategoryzacja kobiet przez przyzmat tych dwóch, zniekształconych wizji jest szkodliwa dla obu płci. Źródłem dualnego podejścia mężczyzn z syndromem Madonny i ladacznicy można doszukiwać się na różnych etapach socjalizacji. Najczęściej wynika to jednak z powściągliwego podejścia do tematów związa-



nych z seksualnością. Dla dużej grupy społeczeństwa seks jest nadal tematem tabu.

Seksualność utożsamia się często z nieprzyzwoitością, która, według wielu, nie przystoi płci żeńskiej. Mężczyźni dotknięci tym zaburzeniem postrzegają seks jako akt niemoralny dla kobiet. Idealna Madonna nie może pozwolić sobie na zepsucie reputacji. Od cielesnych doznań jest ladacznica. Niestety kobiety, które otwarcie komunikują, że nie interesuje ich bliskość emocjonalna, są postrzegane przez to jako godne potępienia. Z kolei ta część płci żeńskiej, która czuje potrzebę tworzenia więzi, chce wychowywać dzieci i żyć dla szczerzej, głębokiej miłości, staje się cnotliwym ideałem.

Między uczuciem a pożądaniem

Opisane przez Renshava zaburzenie seksualne można dostrzec we współczesnym społeczeństwie. Nawet jeśli sposób postrzegania kobiet bardzo rzadko jest aż tak skrajnie różny, podział na „łatwe” i „szanujące się” niestety występuje. Może on prowadzić do roz-

bieżności cech przypisywanych roli żony i matki oraz roli partnerki seksualnej. Ta rozbieżność będzie z kolei bodźcem oddalającym od siebie dwoje kochających się ludzi. Bo mężczyźni postrzegający kobiety w tych kategoriach darzą uczuciem stałe partnerki. Nie chcą od innych kobiet miłości, tylko seksualnej rozrywki.

Z zaburzeniem Madonny i ladacznicy trzeba walczyć, ponieważ upowszechnia ono szkodliwe stereotypy. Ludzie uwielbiają czuć się szanowani, a więc i kobiety postrzegane jako Madonny będą wpadać w „bańkę godności” i dostosowywać się do oczekiwań mężczyzn z tym zaburzeniem. Z kolei kobiety traktujące seks jako czystą przyjemność będą nadal marginalizowane i określane dehumanizującymi epitetami. Jeśli o zaburzeniu nie będzie się mówić głośno, społeczeństwo pozostanie w poczuciu przyzwolenia na ocenianie preferencji seksualnych osób, które wychodzą poza ramy grzecznego, małżeńskiego seksu w sypialni.

Milena MROZEK
milmro1@st.amu.edu.pl

Biblia dla fana F1 i nie tylko

– recenzja książki Mikołaja Sokoła „Szybko, szybciej, najszybciej”

Niewielu polskich dziennikarzy, zajmujących się Formułą, może się poszczycić renomą Mikołaja Sokoła. Ceniony komentator postanowił jednak zrobić coś dla fanów i w połowie kwietnia nakładem wydawnictwa Side Qua Non wydana została jego książka pod tytułem „Szybko, szybciej, najszybciej”.

Mikołaj Sokół to nazwisko, które bez problemu rozpozna niemal każdy polski fan Formuły 1. Dziennikarz związany z telewizją Eleven Sports oraz dziennikiem „Rzeczpospolita”, zajmujący się motosportem od ponad 20 lat, który na żywo i z bliska widział rozwój kariery jedynego Polaka w F1 Roberta Kubicy. Świetny komentator, który potrafi nadażyć za szybko zmieniającą się sytuacją na torze oraz znający się na aspektach technicznych i strategicznych. Do tego tłumacz, rozumiejący nawet najbardziej zniekształcone przez ryk silników komunikaty radiowe na linii kierowca-zespół.

Nic dziwnego więc, że Sokół stał się dla polskiej społeczności Formuły 1 kimś na wzór angielskiego komentatora Martina Brundle’a – autorytetem, który potrafi tłumaczyć najbardziej skomplikowane zagadnienia oraz harmonijnie dopełniać swoich kolegów z budki komentatorskiej, skupionych na samej rywalizacji. Tajniki królowej sportów motorowych Mikołaj miał okazję poznać z bliska, jeżdżąc starszymi bolidami F1 podczas prywatnych testów oraz samemu startując w roli pilota rajdowego.

Nie zaskakuje więc, że największy ekspert od F1 w naszym kraju postanowił wydać książkę poświęconą ponad 70-letniej historii tego sportu za tytułowaną „Szybko, szybciej, najszybciej”.

Zawartość oraz oprawa

Książka Mikołaja Sokoła to ponad 600 stron opowiadających o historii Formuły 1 z perspektywy 18 wyścigów, poczynając od pierwszego w historii Grand Prix Formuły 1 na torze Silverstone w Wielkiej Brytanii, aż po wieńczące poprzedni sezon wciąż kontrowersyjne Grand Prix Abu Dhabu. Każdy rozdział otwiera motto będące cytatem jednego z uczestników bądź świadków wydarzeń oraz krótki wstęp zarysujący sytuację związaną z danym Grand Prix. W każdym rozdziale oprócz wręcz kronikarskiego zapisu przebiegu rywalizacji na torach takich jak: Monza, Silverstone, Monako czy Interlagos znajdziemy także znacznie szerszą obudowę, przedstawiającą ciąg przyczynowo-skutkowy, który mógł doprowadzić do takiego, a nie innego obrotu wydarzeń. Mikołaj Sokół w tym popisuje się swoją elokwencją, sięgając do wydarzeń kilka lat wstecz, a niekiedy odchodząc nawet od historii samej F1, cofając się do czasów pierwszych wyścigów, gdy o Formule 1 nikt nawet jeszcze nie myślał.

Autor po zakończeniu głównego wątku wyścigu opisuje także dalsze losy głównych bohaterów danego Grand Prix, dzięki czemu każdy rozdział stanowi zamkniętą całość. Każdy rozdział dodatkowo jest dopełniony specjalnym posłowiem, skupiającym się na ciekawych oraz niekiedy nie do końca opowiedzianych aspektach rywalizacji z

okresu, w którym odbywał się wyścig. Książkę uzupełnia także bogata kolekcja zdjęć, przedstawiających momenty z historii sportu oraz opisywanych rywalizacji zarówno z torów, jak i niekiedy spoza nich. O jakości niech świadczą także dwie przedmowy – autora oraz Marcina Budkowskiego, byłego szefa ds. technicznych zespołu Alpine w sezonie 2021, który w swojej karierze miał także okazję pracować dla FIA oraz dla dwóch największych ekip w historii F1: Ferrari i McLarena.

Oprócz zawartości merytorycznej warto także zwrócić uwagę na oprawę oraz jakość wykonania. Książka wydana została w twardej oprawie, a strony są wszywane, dzięki czemu odnosi się wrażenie, że jest to pozycja solidna nie tylko w środku, ale także na zewnątrz. O ile niektórzy nie przepadają za książkami w twardej oprawie, o tyle warto się do niej przekonać dla samej zawartości. Są też dobre wieści dla fanów e-booków i audiobooków – znajdziecie także takie wydania. Audiobook jest czytany głosem wieloletniego współpracownika Mikołaja Sokoła, wspomnianego wyżej Andrzeja Borowczyka.

Wrażenia

Książkę czyta się tak, jak wskazuje tytuł – szybko. Sposób opisywania wydarzeń jest przyjemny dla czytelnika i kolejne strony po prostu znikają. Opisy kontekstu wydarzeń oraz dalszych losów głównych bohaterów danego wyścigu sprawiają, że nie sposób oderwać się od lektury. Sprawne pióro oraz wartkie i szalone dzieje Formuły 1 dają świetne połączenie nie tylko dla zapaleńców, ale także dla tych, którzy o F1 nie mają większego po-

jęcia i szukają dla siebie solidnego źródła informacji zarówno o wartości historycznej, statystycznej, jak i nawet anegdotycznej.

To połączenie może być jednak czasami kłopotliwe – nie sposób opisać całą historię tego sportu przez pryzmat zaledwie 18 wyścigów i czasami idzie się zgubić w natłoku powiązanych ze sobą zdarzeń oraz nazwisk. Sam kilkukrotnie musiałem zatrzymać się, by przypomnieć sobie któreś z nich. Jest to jednak całkowicie zrozumiałe, będąc bowiem kimś z taką wiedzą, nie zawsze da się powiedzieć o wszystkim, co uważamy za ważne dla naszego czytelnika. Uczepić się można jeszcze kilku błędów, jednak są to zaledwie drobne chochliki językowe, które można usunąć w kolejnych wydaniach. Jedynym poważniejszym błędem jest umieszczenie mapy toru Hungaroring w rozdziale poświęconym GP San Marino z 1994 roku, które rozegrano na torze Imola, jednak to także będzie można skorygować w późniejszych wydaniach książki.

„Szybko, szybciej, najszybciej” to niemal biblia dla fana Formuły 1. Znajdziecie tu całą masę faktów opowiedzianych w przykuwający uwagę czytelnika sposób, uzupełnionych o wiele anegdot, a także statystyki i fotografie. Jest to pozycja zarówno dla rozpoczynających swoją przygodę z tym sportem, jak i dla tych, którym wydaje się, że widzieli w F1 już wszystko. Jest to książka, po którą warto sięgnąć, by poznać najbardziej fascynujące dzieje jednego z największych obecnie sportów, nie tylko w świecie motorsportu.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl

Piknikowy finał Pucharu Polski

Zamiast piłkarskiego święta w Warszawie kibice, a w zasadzie ich część, czuła się jak na sparingu. Puchar zdobył Raków Częstochowa, pokonując Lecha Poznań 3:1.

Ekipa z Poznania dotarła do finału, nie tracąc żadnego gola, co pokazuje, że tamte spotkania nie były zbyt wymagające dla podopiecznych Macieja Skorży. Kolejorz pokonał Skrę Częstochowa, Unię Skierzwice, Garbarnię Kraków, Górnika Zabrze i Olimpię Grudziądz. Zespołowi spod Jasnej Góry również sprzyjało szczęście w losowaniu. Pierwszy trudniejszy rywal pojawił się dopiero w półfinale, lecz drużyna Marka Papszuna skorzystała ze słabej formy warszawskiej Legii i pokonała ją 1:0.

Posiadanie piłki jest przereklamowane

Z takiego założenia wychodzi „The Special One”, czyli znany portugalski trener, Jose Mourinho. W tegorocznym finale Pucharu Polski to powiedzenie zostało odwzorowane idealnie. Pomimo posiadania piłki przez zaledwie 34 procent czasu gry, to Raków grał przez większość meczu lepiej, a przede wszystkim skuteczniej. Największą niespodzianką w wyjściowej jedenastce Lecha był brak Joao Amarala oraz wyjście bardziej defensywnym ustawieniem bez Pedro Tiby. Raków wystawił natomiast najsilniejszy skład z tercetem w ataku Wdowiak-Gutkovskis-Lopez.

Pierwsze 15 minut meczu przebiegało zdecydowanie pod dyktando zespołu Marka Papszuna. Lech po pierwszej kontrze częstochowian stracił bramkę w 6 minucie po strzale Gutkovskisa. Deian Sorescu wykorzystał błąd w ustawieniu Satki, który złamał linię spalonego, podał do Łotysza, a ten wykorzystał sytuację. Gol podzielił poznaniaków skrzydła. Dopiero w 17. minucie Kolejorz był bliski wyrównania, lecz strzał Jakuba Kamińskiego trafił w słupek. Do 35. minuty można było odnieść wrażenie, że Lech niebawem strzeli bramkę, ale strata Joela Pereiry w środku pola przyniosła efekt w postaci drugiej bramki dla Rakowa. Dobre podanie Iviego Lopeza wykorzystał Mateusz Wdowiak, który był sam na sam z Van Der Hartem i wykorzystał okazję do podwyższenia wyniku.

Na początku drugiej części spotkania zespół z Poznania przystąpił do ofensywy i strzelił bramkę kontaktową. Po zamiesz-



Kibice Lecha niemogący dostać się na stadion

niu w polu karnym i strzale Dawida Kownackiego, piłkę do bramki stracił głową Joao Amaral (który wszedł na boisko w 46. minucie za Joela Pereire). Lech próbował następnie wyrównać, lecz z tych prób niewiele wynikało. W 76. minucie Raków przypieczętował losy finału po bardzo dobrej akcji Tudora z Lopezem zakończoną strzałem w lewy dolny róg i trzecią bramką. Z sytuacji wartych do odnotowania w drugiej połowie jest jeszcze zachowanie Jakuba Araka. Piłkarz wszedł na boisko w 83. minucie, by po 5 minutach z niego zejść: bardzo ostro sfaułował Marchwińskiego i po wideoweryfikacji otrzymał czerwoną kartkę. Arak został antybohaterem tego widowiska, lecz dla częstochowian nie miało to znaczenia, bo zdobyli trofeum.

Znowu drugi, całe życie drugi

Kibice Lecha po tym meczu mogli poczuć déjà vu. Piąty przegrany finał z rzędu w ciągu jedenastu lat jest ewenementem na skalę światową. Podobny przypadek można znaleźć w Szkocji, gdzie Hibernian przegrał dziesięć finałów z rzędu, lecz zajęło im to znacznie więcej czasu (100 lat). Częstotliwość przegrywanych finałów pokazuje, że Kolejorz może pobić ten niechlubny rekord.

Piłkarze z Poznania nie wytrzymują presji bardzo ważnych spotkań i to nie tylko w krajowym pucharze. Znamienny jest przykład końca sezonu 2016/2017, kiedy Lech stracił niemal pewne mistrzostwo. Od czasu zdobycia Superpucharu w 2016 roku klubowa gablota świeci pustkami. Ten sezon jednak nie jest dla Lecha stracony. Ligowy tytuł jest na wyciągnięcie ręki, lecz Kolejorz musi wytrzymać presję i mieć szczęście, którego ostatnio brakowało.

Półowiczny doping

Podczas finału najbardziej w oczy rzuciły się puste sektory kibiców Lecha Poznań. Kibice nie mogli wnieść na stadion zbyt dużych elementów oprawy. Zabroniły tego władze miejskie na podstawie opinii straży pożarnej. Zakazane zostały „sektorówki”, czyli flagi większe niż 2 na 1,5 metra. Przyczyną tego mogło być zachowanie pseudokibiców Arki Gdynia, którzy w 2018 roku podczas finału podpalili membranę stadionu. Organizatorzy postanowili rozwiązać sprawę najłatwiej, czyli wprowadzając zakaz, ale część kibiców postanowiła nie odpuszczać i walczyć o swoje.

Przez ich protest na trybunę nie mogli wejść nawet ci kibice, którzy chcieli. Dla niektórych zachowanie fanów Kolejorza może być niezrozumiałe. Pojechali ponad 300 kilometrów, zapłacili za bilety i nie obejrzieli meczu. Częściowo rację przyznał im nawet prezes PZPN Cezary Kulesza. Napisał na Twitterze, że „jeżeli w przyszłości PSP nie zmieni swojego stanowiska, finał PP nie będzie organizowany w Warszawie”. Reasumując, nikt nie wyszedł z tej sytuacji zwycięsko. Kibice nie obejrzieli meczu, a widok samych trybun przypominał bardziej sparing w okresie przygotowawczym. Nie jest to dobra reklama dla rozgrywek, które, jak się wydawało, były organizacyjnie na bardzo dobrym poziomie. Przynajmniej to, co działo się na boisku, przystawało do rangi meczu.

Mateusz MARKIEWICZ
matmar15@st.amu.edu.pl

*artykuł został oddany do druku w dniu 10.05.22